Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 20.

dnia 17. Kwietnia 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

(Ciąg dalszy).

W godzinę po tej rozmowie, wszystkie jej szczegóły Moszko otrzymał od Franka, który pilnie słuchał pode drzwiami, wieczorem zaś Moszko zawiózł je znowu Sternowi, który bardzo się tem cieszył, że ojciec nie przystał na propozycję syna.

W kilka dni pan Gozdawa potrzebował pieniędzy na podróż do stolicy. Skromnie licząc, bez tysiąca guldenów bał się z domu ruszać. W kieszeni jego, jak zwykle były pustki, Moszko klął duszę i ciało, że w kasie nie ma szeląga, należało przeto udać się do Sterna. Pojechał. Ten prawdopodobnie już wiedział, w jakim interesie do niego przybył, gdyż nie czekając aż on zacznie, tak przemówił:

— Jakie szczęście, że pan się pokazał, właśnie chciałem jechać do Starejwsi. Dziś otrzymałem list z doniesieniem, że poseł sejmowy z naszego obwodu złożył mantat.

— Doprawdy mosterdzieju? W takim razie będziemy mieli nowy wybór.

— A że poseł z gmin wiejskich umarł — Stern uzupełnił — więc właściwie będą dwa wybory.

— Rzeczywiście dwa! Ciekawym mosterdzieju, czemu pan Hilary zrzekł się mandatu? Gdy się o niego starał, niebo i ziemię poruszał.

— Bo pan Hilary to człowiek honorowy — Stern odpowiedział. — Jak tylko się przekonał, że w Sejmie nic nie zrobi, wolał mandat złożyć, niż daremnie tam siedzieć i brać dyety.

— Radbym wiedzieć czemu nie miał zrobić?

— Czemu? Bo w Sejmie same dobre chęci nie wystarczają. Przecie pan dobrodziej przyzna, że Sejm galicyjski tylko dla tego jest ociężały i nieudolny, że w nim tak mało ludzi prawdziwie zdolnych i fachowych. Siedzieć i głową kiwać to nie sztuka, ale coś dobrego zrobić, to mi sztuka! Gdyby Sejm miał innych ludzi, o joj! gdziebyśmy byli.

— Może i racja mosterdzieju... *Teraźniejszość* nie raz w tym duchu pisała. Doprawdy, że nad tą Galicją warto by się zastanowić. Wolność mamy że aż he! język polski w szkołach i w urzędzie, każdy starosta sercuńciu kłania się szlachcicowi na sto kroków, a dawniej brał go zaraz do kozy, słowem, zdawałoby się, że nam tylko mleka ptasiego brakuje, tymczasem mosterdzieju bieda z każdym dniem większa.

— Bo Sejm nie umie dobrze radzić — żyd wtrącił.

— Nie umie, pewnie że nie umie, ale jak zrobić mosterdzieju żeby umiał? Mówisz pan, że trzeba wybierać ludzi zdolnych i fachowych, i ja to zdanie w zupełności podzielam, lecz zkąd ich brać sercuńciu, zkąd? Przy ostatnich wyborach szukaliśmy kandydata aż w piątym obwodzie, no i wybraliśmy go szczęśliwie, tymczasem jak pan wspomniałeś, nasz poseł sam się teraz przekonał, że nie ma kwalifikacji i mandat złożył. Bardzom ciekawy kogo teraz wybierzemy.

— Jabym sądził — Stern wtrącił obojętnie — że przedewszystkiem należałoby dać mandat tęgiemu finansiście i to takiemu, który ma stosunki z całym światem... Wolności, jakto pan dobrodziej

sam powiedział, dzięki Bogu dosyć już mamy, teraz trzeba tylko pieniędzy, a tych byle kto nie sprowadzi do kraju. Co pan na to?

— Co? nic... zdaje mi się mosterdzieju, że uwaga dobra, ale gdzie szukać takiego finansisty?

— Ojoj! niby to nasz powiat nie ma takiego... A jak ja bym kandydował, coby to było złego?

— Co, pan chcesz kandydować z większych posiadłości?

Pan Gozdawa zadając to pytanie, wyciągnął wskazujacy palec ku Sternowi, i z największem zdziwieniem wypatrzył się na niego. W tej ważnej chwili przyszło mu na myśl jego pochodzenie, obelga jaka go w Starostwie spotkała i pojedynek niefortunny... Wprawdzie usprawiedliwiał go mówiąc, że trudno żądać od żyda, by był tak odważnym jak każdy szlachcic polski i bił się do upadłego, wszelako z drugiej strony sam przed sobą nie taił, że Stern zanadto prędko pojedynek zakończył. Zajęty różnemi rzeczami zapomniał był ostatniemi czasy o tej sprawie, jednakże teraz przyszła mu ona na myśl i w wysokim stopniu powiększyła jego zdziwienie.

Stern jakkolwiek mógł się łatwo domyśleć, co się działo w duszy jego gościa, ani się tem obraził, ani odstraszył.

— Dlaczego byście mnie panowie nie mieli wybrać? — hardo zapytał. — Czyż to ja nie Polak mojżeszowego wyznania, lub może nie właściciel wielkich posiadłości? Prawda że szlachcicem nie jestem, ale jak pan Bóg da, i to będzie... Zresztą czy raz mi pan mówił, że szlachta polska była zawsze demokratyczną i tolerancką? Czemu więc nie mielibyście wybrać izraelity?

Stern mówił czekając na odpowiedź: pan Gozdawa nie mógł się jakoś na nią zdobyć i ledwie bąknął:

— No tak, mosterdzieju... hm! hm!

— Jak mnie panowie wybierzecie, to ja się zaraz o to postaram, że przez Ludaczów pójdzie kolej żelazna i że w naszem mieście powiatowem powstanie bank dla właścicieli większych posiadłości. Ciekawym czemu my mamy po pieniądze Bóg wie gdzie jeździć, kiedy je przecie i tu mieć możemy.

— Zapewne mosterdzieju, zapewne.

— A jak wszystkie dzienniki będą panów wtedy chwaliły! Każdy będzie powtarzał, że na całym świecie nie ma szlachty bardziej liberalnej, no i *Neue freie Presse* o tem także coś napisze! Wie pan co, jeżeli kto, to pan powinien moją kandydaturę postawić.

Właściciel Starejwsi nie zdobył się jeszcze na odpowiedź. Stern tymczasem nie dając za wygrane, mówił długo i szeroko o swojej kandydaturze i wszelkiemi sposobami starał się przekonać pana Gozdawę, że on pierwszy powinien zająć się tą sprawą. Pan Gozdawa mruczał, chrząkał, nakoniec nie powiedziawszy ani tak ani owak, zabrał się i odjechał. O interesie, który go do Sterna sprowadził, ani wspomniał. Nie wypadało przecie żądać pieniędzy od człowieka, ktorego kandydatury nie chciało się postawić.

Stern poczekawszy dni kilka, w którym to czasie pan Gozdawa kręcił się za pieniądzmi jak piskorz posolony, pojechał sam do Starejwsi i zaczął mówić o dawnym przedmiocie. Na drugi dzień znowu wrócił. Trwało to blisko tydzień; w końcu do tego doprowadził, że pan Gozdawa uwierzył w pożyteczność jego kandydatury. Dopiero gdy ta wiara należycie w nim się umocniła, przyrzekł postawić go i poprzeć, poczem wspomniał o tysiącu guldenów, bez których nie mógł się ruszyć. Chociaż Stern przy tej sposobności długo skarzył się na ciężkie czasy i złe interesa, dał jednak pieniądze, aby pan Gozdawa nie myślał, że on jest taki grubijan nieuczynny jak pan Lachocki, lecz żeby wierzył w jego przyjaźń szczerą i bezinteresowną. Równocześnie atoli wziął słowo, że w tym roku nie będzie więcej od niego żądał, bo choćby rad z całego serca, dla braku gotówki nie mógłby mu więcej służyć.

O tem wszystkiem Ryszard nic nie wiedział. Pan Gozdawa pojechał do stolicy, zabawił się doskonale w towarzystwie wesołem, zagrał kilka razy wiścika i po dwóch tygodniach wrócił bez pieniędzy. Kilka dni siedział znowu jak anachoreta, myśląc tylko o oszczędności, gdy w tem dowiaduje się, że marszałek powiatowy sprzedaje cudownego ogierka, czystej krwi arabczyka. Jedzie, kupuje go za 2000 guldenów i do miesiąca obowiązuje się pieniądze złożyć! Z kąd ich jednak wziąć? Stern nie da, zresztą przyrzekł mu, że w tym roku nie będzie od niego więcej żądał, gdzie indziej nie sposób pożyczyć, słowem rozpacz!

Kiedy biedny nasz przyjaciel na prawdę gryźć się zaczyna, zjawia się duch opiekuńczy w postaci Moszka. Ten najpierw oświadczywszy, że

z dawien dawna był jaśnie pana sługą najwierniejszym, pyta pokornie co by jaśnie panu było.

— A tobie mosterdzieju co do tego? — pan Gozdawa odpowiada.

— Co mi do tego? Przecie jaśnie pan wie, że ja biedny żydek o niczem nie myślę, tylko o tem, jakby jaśnie panu dogodzić. Jak ja widzę, że jaśnie pan się martwi, to mnie zaraz w boku kolka kłuje.

Uśmiechnął się pan Gozdawa i odrzekł:

— Wiem, wiem Moszku, żeś mi życzliwy, lecz tym razem sercuńciu nic mi nie pomożesz.

— Kto wie! Żeby tylko jaśnie pan chciał powiedzieć.

— Oto widzisz, nie mam pieniędzy, a do czternastu dni mosterdzieju, muszę marszałkowi odesłać 2000 guldenów. Na djabła mi było tego konia, ale stało się sercuńciu, teraz trzeba płacić i kwita.

Żyd w głowę się poskrobał.

— Dużo pieniędzy na te ciężkie czasy... pogadam jednak z moją Ryfką i wieczorem dam odpowiedź.

Wieczorem w rzeczy samej przyszedł i odpowiedź, którą przyniósł, nierównie była lepsza, niż się jej pan Gozdawa spodziewał. Moszko sam wprawdzie nie miał pieniędzy, ale jego żona miała właśnie 2000 guldenów, które od swojego ojca jako posag otrzymała. Będąc do dziedzica całą duszą przywiązana, była gotowa pożyczyć mu tę kwotę na dwa od sta miesięcznie, czyli na 24 rocznie, wszelako równocześnie żądała aktu notarjalnego, w którym by jej pan Gozdawa oddał w sekwestracyjne posiadanie wszystek swój inwentarz i ruchomości.

— Ja jej mało sto razy mówiłem — kończył Moszko — że jej nie potrzeba takich rzeczy! Przecie jaśnie pana lepsze jedno słowo niż najdłuższy akt notarjalny, ale cóż ja poczn z głupią kobietą. I niech jaśnie pan nie myśli, żeby ona tego żądała dla swego bezpieczeństwa, Boże uchowaj! Ona chce to zrobić tylko dla jaśnie pana.

— Dla mnie powiadasz?

— Tak jest... Jaśnie pan zapewne nie wie, że moja Ryfka Sterna na oczy znieść nie może. Ona mi ciągle głowę męczy, czemu ja takiemu żydowi służę, który kiełbasę jada i w szabas jeździ... moja żona ma wielki recht, lecz co ja tu poradzę? Przecie żyć trzeba, a biedny żydek dziś na samej arendzie nic nie zarobi.

— Zanadto od rzeczy odbiegasz mosterdzieju! Wspomniałeś coś, że twoja żona chce takiego aktu dla mojego dobra.

— Aha, prawda jaśnie panie... Otóż Ryfka nienawidząc Sterna, bo go uważa za najgorszego, boi się, żeby on kiedy jaśnie panu nie zechciał zrobić jakiej przykrości... taki człowiek gotówby sam co zasekwestrować... Jeźli więc jaśnie pan dobrowolnie w tym akcie to zrobi, Stern w najgorszym nawet razie nie będzie mógł dokuczyć.

— Aha! więc to tak... No, no, pomyślę jeszcze o tem mosterdzieju.

Myślał trzy dni, a po trzech dniach, postarawszy się wpierw o to, by spisywanie inwentarzy i ruchomości odbyło się pod nieobecność Ryszarda, wystawił akt notarjalny, wziął pieniądze i niezwłocznie odwiózł je sam marszałkowi.

W stajni arabczyk rżał wesoło, Stern zaś tego samego dnia ujrzawszy u siebie akt notarjalny, rzekł do Moszka:

— *Di bist a wojler Jing!* *)

ROZDZIAŁ XV.

NA ZGROMADZENIU PRZEDWYBORCZEM.

Smutną była dusza Ryszarda. Odkąd Róża na wieki z oczu mu znikła, zmienił się do niepoznania. Z młodzieńca swobodnego zrobił się mężczyzną poważnym, w sobie zamkniętym i pozornie spokojnym. Tak jest pozornie tylko, w głębi bowiem serca boleść tak pokój jego zburzyła, że odtąd nawet na ustach nie pojawiał mu się więcej dawny uśmiech.

Z przerażeniem pytał sam siebie, czyli by to miłość była, i pełen grozy myśl tę odtrącał. Bo czyż on, ten człowiek pozytywny, który zawsze jedynie to czynił, co jego rozum za dobre poczytywał, mógłby zakochać się tak prędko i do tego w żydówce; to jest w istocie pozbawionej głębszych uczuć, nie rozumiejącej poświęcenia bezinteresownego i nie wierzącej w żadne ideały!?

Tak sam w siebie wmawiał, tymczasem codzień rano z łóżka wstawszy, zbliżał się do okna i nieraz godzinę przypatrywał się ekonomówce, którą ztąd było widać, ścieżce, którą tyle razy chodzili i kładce nad strumykiem! Pragnął tam kogo zobaczyć, lecz nikt się nie zjawiał... Czemu ją spotkał, a spotkawszy, czemu zaraz nie zapytał o

*) Sprytny z ciebie chłopiec.

jej nazwisko? Gdyby się był wtedy dowiedział czyją jest córką, od pierwszej zaraz chwili byłby stanął na straży swojego serca i dziś pewnie by o niej nie myślał... Wyrzucał więc sobie, że zachowywał się jak chorobliwy idealista. nie jak człowiek prawdziwie pozytywny i przyrzekał, że odtąd będzie ostrożniejszym.

Wszakże mimo że tak surowo swoje postępowanie osądzał, chciał się dowiedzieć, co ona porabia. Czy jego słowa doprawdy boleśnie ją zraniły, czy może już dawno o nich zapomniała?... Zapewne to drugie nastąpiło, żydzi bowiem nie mają takiej jak my ambicji, więc i zniewag tego rodzaju długo w sercu nie zachowują. W pierwszej chwili zabolało ją, za godzinę atoli puściła wszystko w niepamięć i dziś myśli już zapewne o jakim bogatym giełdowiczu, któremu na rozkaz rodziców serce na złotym talerzu ofiaruje. Czemu jednak na myśl mu przyszło, że wyjdzie za mąż jedynie na rozkaz rodziców? Czyżby przypuszczał, że Róża najbogatszego nawet giełdowicza nie potrafi pokochać?

Tak pragnął coś o niej usłyszeć, że raz konia dosiadłszy do Woli Ludaczowskiej pojechał. Myślał że przynajmniej garbusa zobaczy, tymczasem i to nie nastąpiło. Już to Henryk bacznie go unikał, tak dalece, że po pierwszem widzeniu nigdzie się więcej nie spotkali. Dziwiło to naszego przyjaciela lecz nie obrażało. Kładł to na karb dziwactwa kaleki, który jak dawniej musiał i teraz rozmyślnie ludzi unikać!...

W miarę jak za Różą tęsknił, czuł co raz większą niechęć do Sterna. Bystry jego zmysł spostrzegawczy nie od dziś mu mówił, że ten człowiek nie przyszedł z rószczką pokoju ani do Starejwsi, ani do powiatu, ani do kraju; z tem wszystkiem myśl o nim nie sprawiała mu nigdy większej niż właśnie teraz przykrości! Jeźli mamy wyznać szczerze, on go stokroć bardziej nie lubił, odkąd się dowiedział że był ojcem Róży. Gdyby nie on, mało sto razy sobie powtórzył, to piękne dziecię byłoby na świat przyszło gdzie indziej, i nie było by żydówką! Zastanowiwszy się bliżej nad tą uwagą, śmiał się ze swojej naiwności lecz mimo to myśl ta ciągle mu umysł zaprzątała. Widocznie chciał z Róży zrzucić wszelką odpowiedzialność za jej pochodzenie i obarczyć nią jej ojca.

Gdyby Ryszard nie pochodził z ludzi dobrych i prawych, i gdyby w młodości swojej nie był się przejął duchem prawdziwego chrystjanizmu, który nawet nieprzyjaciołom przebaczać nakazuje, to kto wie czy Sterna nie byłby znienawidził, poczem w duszy jego była by się prawdopodobnie obudziła żądza szkodzenia temu człowiekowi. Nasz przyjaciel był jednak zbyt szlachetny, żeby mógł zajść aż tak daleko. On nigdy nie myślał szkodzić Sternowi, on chciał go tylko zrobić nieszkodliwym. Zgubnej jego działalności, na którą patrzył, zamierzał zawsze i wszędzie kłaść zaporę.

Dla tego to ofiarował ojcu swoją pracę i swój majątek, dla tego i teraz usłyszawszy, że Stern zamierza ubiegać się o mandat poselski, postanowił choćby sam jeden do walki z nim wystąpić.

Do powiększenia zgryzot Ryszarda przyczyniła się także w wysokim stopniu śmierć Krystyny. Mimo wysileń nadludzkich nie mógł jej ocalić. Sam mieszkaniec Ekonomówki, widząc że trawi przy niej większą połowę swego czasu, nawet po nocach przychodzi, prosił go, by ją boskiej powierzył opiece, a sam zajmował się innymi chorymi, którzy jego pomocy potrzebowali. Nie usłuchał, i do ostatniej chwili był przy niej; a gdy oczy zamknęła, rozpłakał się jak dziecko.

Wiemy, jaki wypadek spowodował śmierć Krystyny, a mimo to w kilka dni po pogrzebie, który jej Ryszard sam sprawił, zaczęły po okolicy głuche wieści krążyć, że to on przez własną nieuwagę jej śmierci był przyczyną.

Kto tę potwarz rozsiewał, nikt nie wiedział, do Ryszarda nawat ona nie doszła. Prawdą atoli było niezbitą, że się ciągle utrzymywała, i w miarę jak oddalała się od miejsca, gdzie Krystyna umarła, robiła się coraz większa, przybierając kształty potworne...

Pan Gozdawa wierny zasadzie, aby przed synem robić wszystko w tajemnicy, nie wspomniał mu nic o przyrzeczeniu danem Sternowi, i lubo w duszy może sam już żałował, że trochę za daleko zaszedł w liberalizmie, postanowił słowa dotrzymać i postawić jego kandydaturę. Powtarzając sobie ciągle: Przecie teraz mamy równouprawnienie mostardzieju, więc dla czego nie mielibyśmy wybrać żyda-polaka, — był podobnym do człowieka, który mimo iż drży na całem ciele, co chwila mówi do siebie że się nie boi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W chwili skonu.

POWIEŚĆ FRANCUSKA Z XVII. WIEKU.

(Ciąg dalszy).

Gdy mnich wyszedł, Kasia usiadłszy na tapczanie, o ścianę oparta, długo i rzewnie płakała. Nadzieja życia niepotrafiła pocieszyć tej duszy zbolałej, która utraciła wszystkich, tu na ziemi przez nią ukochanych.

Odwracała oczy ze wstrętem i z trwogą od tego świata, przez który miała iść samotna, rozłączona na wieki z tym, dla którego jedynie żyć by była chciała.

Na placu, przed pałacem prezydenta, zastał ojciec Mariusa, Beauregard'a i kilku innych z młodzieży miejscowej. Przechadzali się czekając godziny Sądów. Wszyscy zajmowali się Katarzyną Loubet; w ogóle od trzech dni w całem mieście o niczem innem nie mówiono.

Magis po raz setny może opowiadał szczegóły tej sprawy, w której jego świadectwo tak ważną rolę odegrało. Robiło mu to nie lada satysfakcję, że jego nazwisko będzie wmięszane w historją o tak szerokim rozgłosie, z której autorowie i poeci nie omieszkają snuć wątka do romansów i ballad. Nie robił tego jednak z nienawiści lub zawziętości; był to po prostu próżniak, wiercipięta, który musiał wszędzie wetknąć swój nos ciekawy, wszystkich między sobą poróżnić, kolportując z domu do domu, co gdzie usłyszał. Był to istny wyżeł wietrzący każdy skandal, każdą awanturę, każdą kłótnię, choćby pod ziemią. A gdy raz się czego domyślał, trąbił o tem tak głośno i uporczywie, póki całego miasta tą wiadomością nie napełnił. Jeżeli wiadomość była fałszywą i kłamstwo mu zarzucano, umywał jak P i ł a t ręce od wszystkiego, ściskając ramionami i powtarzając stereotypowe: „Jak Boga kocham! tak mi powiedziano! Wszak każdego oszukać można!“ Gdy atoli wieść się potwierdzała, kazał podziwiać swoją wielkość i wzrok bystry, któremu nic nie ujdzie.

— Panowie — kończył pompatycznie, raz po raz w piersi się uderzając — wszystko, coście tu słyszeli, spisałem w mojem zeznaniu na miejscu, gdzie zbrodnia spełnioną została. Bóg świadkiem! jak mi było ciężko oskarżać tę biedną dziewczynę!... Moje sumienie jednak nie mogło znieść tak wielkiego ciężaru. Nie ma tam ani jednego słowa na wiatr powiedzianego. W sprawach kryminalnych można tylko to zeznawać, co się naocznie widziało.

— A i w tedy jeszcze — przerwał ojciec Atanazy, dotykając się lekko ramienia Marjusa — któż zaręczy, że wzrok nasz słaby i niedołężny, nie złudził nas. Bóg jeden jest nieomylny! Widziałem w więzieniu Katarzynę Loubet. Utrzymuje wytrwale, że jest niewinną.

Za całą odpowiedź Marjus wzruszył litościwie ramionami i dwa palce do ócz przytknął. Szmer złowrogi powstał pomiędzy słuchaczami. Oburzona publiczność, żądną była ofiary, która by pomściła Loubetę zamordowaną; Kasia, obarczona dowodami tak jaskrawemi, nim jeszcze przed sądem stanęła, była już nieodwołalnie przez o p i n j ę potępioną.

Mnich smutno głową potrząsał, widząc i słysząc tę ludu manifestację; bał się czy i u sędziów nie znajdzie tak wielkiego w sprawie Kasi uprzedzenia. Zamiast więc iść do pana prezydenta, mimo upału skierował swoje kroki prosto do Pawilonu, gdzie dotąd margrabina mieszkała.

W sieniach spotkał poczciwą Joannę, najwierniejszą i najprzywiązańszą ze sług margrabiny.

— Bóg sam zesłał cię tu czcigodny ojcze — zawołała radośnie, całując go w rękę z uszanowaniem — mam bardzo wielki ciężar na sercu.

— Jeżeli to tajemnica spowiedzi, jutro rano będę na ciebie czekał w konfesjonale.

— Nie o mnie tu idzie ojcze, lecz o moją panią, której służę od dawna, i do której jestem całą duszą przywiązana. Może byś jako jej spowiednik mógł wpłynąć na nią...

— Mów śmiało moje dziecię....

— Nie tutaj, by nas który z lokai nie podsłuchał... chodźmy lepiej do ogrodu.

Mnich zdziwiony tajemniczością tych słów, postępował za Joanną w milczeniu. Gdy już znacznie się od domu oddalili, i usiadł na wskazanej ławeczce, tak mówić zaczęła, łzy obfite fartuszkiem ocierając:

— Pani margrabina od jakiegoś czasu jakby zmysły postradała! Nie wiem jak ukryć dłużej to nieszczęście...

— Matko Boża! co mówisz Joanno?!

— Dotąd nikt o tem nie wie, nawet pan prezydent...

— Cóż się to jednak stało? Trzebaż mnie było dawno sprowadzić! Czy pani margrabina o mnie nie wspominała?

— Niestety nie, mój ojcze! W ogóle nie chce widzieć nikogo. Dzień i noc płacze i płacze. Od śmierci męża, pani niknie widocznie. Tam w pałacu nie było i dziwoty! Chryste Panie! spać w pokoju jak pośmiertna kaplica, wybitym czarnym aksamitem, ze srebrnemi galonami i od rana do wieczora przyjmować wizyty; same figury w grubej żałobie, mówiące jej bezustannie o nieszczęściu, które ją spotkało. Pod brzemieniem takiej etykiety toć i zdrowy mógłby zachorować, a ją i tak osłabioną, zabijało to po prostu. Cieszyłam się, że gdy tu się dostanie, odpocznie sobie w tej ciszy, w tej zupełnej samotności, bo nawet i pan prezydent dzięki Bogu nas nie odwidza. Istotnie było się jej znacznie polepszyło. Tymczasem ostatniej niedzieli, po wizycie adwokata Loubet....

— Jakto? Loubet był tu, u pani margrabiny?!

— W swojej własnej osobie. Miał minę dziwnie zafrasowaną. Domyśliłam się zaraz, że mu się coś bardzo niemiłego wydarzyć musiało. Pani przyjęła go w saloniku. Zabawił kwadrans może, gdy wyszedł, zastałam panią zemdloną. Z pomocą kobiet rozebrałam ją i na łóżku położyłam. Skoro oczy otworzyła, zaczęła jęczeć, szlochać i ręce rozpaczliwie załamywać.... oddaliłam wszystkie kobiety, bojąc się, by jakiej tajemnicy nie podsłuchały. Starałam się ją uspokoić i pocieszyć.

— I cóż mówiła?

— Nic, nic, prócz zakazu, żeby nikogo nie sprowadzać i nikomu a nikomu znać nie dawać. Nie spi po całych nocach, nic prawie nie je, widocznie chce się uśmiercić. Jak to dłużej potrwa, najdalej do dwóch tygodni i ją położą obok męża w grobie familijnym. Jakaś boleść tajemna ją pożera i dałabym szyję moją, że to ten adwokat Loubet, oznajmił pani jakąś fatalną nowinę, zwiastował jej jakieś wielkie nieszczęście....

— Cóż znowu? W każdym razie, jego to się li tyczyło, a mimo znanej dobroci serca margrabiny, nie mogło jej tak bardzo wzruszyć nieszczęście domu Loubetów.... Czy wie o tem wszystkiem co później nastąpiło?

— O śmierci pięknej Loubety i zbrodni Katarzyny Loubet?... Nie mówiłam jej o tem mój ojcze. Bałam się napełniać jej umysł tak smutnemi obrazami. Jej wyobraźnia dość i tak już podrażniona, stwarza sobie widocznie jakieś straszne widziadła, które jej chwili spokoju nie dają. Starałam się przeciwnie rozweselać ją opowiadaniem wesołych anegdotek, spiewaniem balad rycerskich, które niegdyś tak lubiła... wszystko nadaremnie. Co mi radzisz mój ojcze? Myślę iż pomimo jej zakazu trzeba o tem uprzedzić pana prezydenta.

— Nie mogę orzec nic stanowczego, póki pani margrabiny nie zobaczę. Chodźmy do niej Joanno.

Okna w saloniku, który już znamy, były szczelnie pozamykane i zasłonięte. Wahadło u zegara stojącego na kominie, przerywało jedynie swoim ruchem miarowym i odgłosem jednostajnym ciszę głęboką.

Margrabina na szezlongu spoczywała. Oczy miała zamknięte, ręce zwisały bezwładnie. Zdawała się usypiać; jednak od czasu do czasu po jej twarzy przebiegało drganie kurczowe, udzielając się i reszcie członków. Bogaty różaniec koło lewej ręki okręcony, świadczył, że właśnie modlić się przestała. Oddech ciężki i świszczący próżnię w piersiach wyschniętych zapowiadał.

— Ojciec Atanazy chciałby się widzieć z panią margrabiną — Joanna cichutko przemówiła.

— Ojciec Atanazy? — szybko w górę się podniosła — chce zapewne pieniędzy dla swoich ubogich. Podaj mi woreczek Joanno i proś go niech wejdzie.

Wśród panujących tu ciemności, mnich ledwo mógł dostać się do szezlonga, prowadzony li głosem margrabiny. Macając w koło siebie znalazł krzesło i usiadł na niem.

— Bóg z tobą pani margrabino — po chwili łagodnie przemówił — czy pobyt na wsi wzmocnił twoje zdrowie, jak się tego spodziewałem?

— Tak mój ojcze. Jest mi bardzo dobrze i myślę tu długo pozostać.

— Przecież nie radziłbym tak się zupełnie od reszty świata odosobniać. Tylko Święci Pańscy mogli znieść życie na puszczy.... Dla ludzi światowych samotność jest zabijająca; rodzi zwykle melancholią i różne inne choroby duszy.... Wymawiam sobie, żem tak dawno pani nie odwidził, lecz tyle mam zawsze do czynienia. Spowiedź, odwiedzanie chorych, więźniów.... Ludzie światowi nie mają wyobrażenia, jak temu, kto sobie za cel życia wytknął, wspierać upadających i pocieszać nędzę wszelaką, jak takiemu powtarzam, wiecznie czasu niestaje....

— Biedni, nędzarze — przerwała margrabina — mówią, że oni mają łaskę u Boga, że łatwiej im dostać się do Niego, niżeli bogaczom.... Dam ci dla nich pieniądze mój ojcze... postanowiłam użyć na cele dobroczynne większą część mojego majątku. Może Bóg mi to kiedyś policzy. Chociaż jest się jeszcze dalekim, bardzo dalekim od śmierci, trzeba myśleć o wiecznem zbawieniu.

Gdy kończyła te słowa, Joanna podniosła żaluzje i wpuściła światło dzienne do pokoju. Promień słońca padł ukośnie na postać w pół leżącą margrabiny.

Była trupiej bladości. Choroba pożarła jej rumieniec; starła z twarzy krasę i świeżość młodości; wykrzywiła rysy do niepoznania. Owe zmarszczki dwa na czole, tworzyły teraz rów głęboki, dzielący czaszkę na dwie części. Cała głowa miała kształt kwadratowy, przypominający czaszkę lwa. Włos płowy, w około rozwiany, dopełniał tego podobieństwa. Oczy zapadły i jak z dwóch jam wyzierały. Gdyby nie te źrenice płonące jak zarzewie, można było wziąć ją raczej za umarłą, niż za żywą. Ojciec Atanazy struchlał na widok zmiany tak nagłej, a tak okropnej.

— Jezu Chryste! — zawołał ręce składając. — Zdrowie twoje margrabino nie zdaje się być dobre, musiałaś wiele cierpieć w tym czasie?

— Tak — zimo odrzekła — byłam cokolwiek niedysponowaną; poczciwa Joanna leżeć mi kazała, i złe ustąpiło.

— Czy tylko ustąpiło? Poddanie się woli Bożej jest piękną cnotą i jedyną ulgą niezaprzeczenie w cierpieniach, których doświadczamy na tym płaczu padole. Lecz z drugiej strony, jest wielkim grzechem taka żałość bezmierna, jakiej ty się oddajesz margrabino i takie powolne ciała zabijanie. Musisz pani zawezwać pomocy lekarskiej.

Potrząsła głową zaprzeczająco:

— Oto dla twoich ubogich ojcze — oddała mu pełny woreczek, który Joanna przyniosła — niech się za mnie modlą. Nie oszczędzaj pieniędzy, ile razy ich zapotrzebujesz, śmiało do mnie się udawaj. Czyż ubodzy nie są braćmi Chrystusa? Wszak powiedział,

że nie wiemy, którym z nich on być może. Ich więc wspomagając, pracuję dla mego zbawienia.

Po tej sentencji tak bogobojnej, poznał ojciec Atanazy, że margrabina jest przy pełnych zmysłach, tylko ją boleść trawi ukryta. I on podzielał to zdanie, że nic jak dobre uczynki nie zdoła ukoić duszy zbolałej i nie uprosi łatwiej błogosławieństwa Boskiego.

Chcąc w tem dopomódz margrabinie wspomniał o biednej Kasi:

— Jeżeli chcesz pani zrobić uczynek prawdziwie miłosierny, to pomóż mi ratować życie, niewinnie posądzonej młodej dziewczyny...

Margrabina podniosła się i wspierając głowę na łokciu, całą wytężyła uwagę.

— Idzie tu o zbrodnię, o wypadek tajemniczy, o którym zapewne nie wiesz pani dotąd. Okropne nieszczęście spotkało rodzinę mieszczańską, najwyżej w Aix cenioną, dom Loubetów. Klarę skrycie zamordowano, a jej młodszą siostrę Katarzynę, o tę zbrodnię posądzoną, wtrącono do więzienia....

Margrabina z głuchym jękiem upadła nazad na poduszki. Odtąd słuchała bezwładnie leżąc, szczegółów najdrobniejszych o odkryciu zbrodni i aresztowaniu Kasi.

— Otóż pani — kończył mnich swoje długie opowiadanie — twój wpływ wszechpotężny, może ratować tę nieszczęśliwą. Jest niewinna! Gotów to jestem zaprzysiądz na zbawienie duszy mojej i pani musiałabyś w tę prawdę uwierzyć, widząc to biedne dziecię. Tak zbrodnia nie wygląda. Spokojna, zrezygnowana, jak święta! A jednak są przeciw niej dowody tak obciążające, że jeżeli Jakób Loubet na czas nie przybędzie, by całą sprawę wyjaśnić, ludzka sprawiedliwość będzie musiała ja potępić. On jeden zna mordercę, on może zeznać prawdę, lecz na to trzeba czasu, trzeba zwłoki... Jeżeli tę otrzymamy, za pomocą twego pani wpływu, Kasia będzie uratowaną. Czy zechcesz przyczynić się do tego dzieła miłosierdzia? Czy uratujesz niewinną?

Margrabina głowę podniosła. Ta wyjątkowa, a tak straszna sytuacja, wróciła jej całą spokojność umysłu, całą jasność poglądu, całą siłę woli.

— Tak jest mój ojcze — z energją odrzekła — chcę ją ratować, lecz sposób, który podajesz, jest bardzo niepewny. Gdzie szukać pana Loubet? Czy zechce wrócić? Wszak tu i o jego własną głowę idzie, jak słyszałam. Nie, nie, jego zeznanie Katarzyny nie uratuje... Niech się przyzna, a ja odpowiadam za jej życie moją głową; rozumiesz ojcze? moją własną głową! Jeżeliby ucieczka jej była niemożebną, otrzymam list żelazny....

— Tym sposobem uratujesz pani życie... a jej cześć?

— Zwłoka nie uratuje ani tego ani tamtego....

— Boże miłosierny! — westchnął mnich ręce z rozpaczą załamując. — Ty więc jeden ratuj tę nieszczęśliwą!

Głuche milczenie zaległo. Margrabina z wzrokiem szklannym, w jeden punkt utkwionym, znowu zapadała w jakąś bezwładność z letargiem graniczącą i zdawała się zapominać zupełnie o obecności ojca Atanazego. Ten podniósł się wreszcie.

— Powrócę jutro pani margrabino, gdy oznajmię Katarzynie, co twoje miłosierdzie chce dla niej uczynić.

Pani d'Argevilliers za całą odpowiedź słabo głową skinęła. Powoli ku drzwiom zmierzał. W tem od proga wrócił się nazad, jakby sobie coś przypomniał. Stan margrabiny wielce go niepokoił. Jego wiara głęboka, religijność, jeden mu tylko sposób wskazywały, by temu złemu zaradzić:

— Moja córko — wyrzekł z rzewną prostotą. — Dawnoś już nie przystępowała do świętej spowiedzi. Dusza twoja pociechy potrzebuje, gdzież ją możesz znaleść skuteczniejszą i obfitszą, jeżeli nie u stóp konfesjonału?

Zadrzała... potem wyszeptała głosem urywanym:

— Temi dniami, mój ojcze... temi dniami... Potrzebuję przedtem zrobić rachunek sumienia...

Joanna czekała w przedpokoju!

— I cóż mój ojcze? — zapytała — co myślisz o pani margrabinie? Mówiła przecie z tobą.

— Jest zupełnie przytomną i zdrową na umyśle, tylko znalazłem ją bardzo przygnębioną i fizycznie okropnie zmienioną.

— Czy uwiadomić, mimo jej zakazu pana prezydenda i sprowadzić lekarza?

— Wstrzymaj się do jutra Joanno; chcę ją przedtem jeszcze raz zobaczyć.

Pod wieczór pani d'Argevilliers kazała szezlong do okna otwartego przysunąć. Dzień był upalny; teraz jednak chłód przyjemny od rzeczki pociągał; kwiaty zmęczone gorącem podnosiły główki leniwo, a lekki wietrzyk, który je muskał, zabierał z sobą w dani najcudowniejszą woń z ich kielichów. Powietrze było balsamiczne, liście coś gwarzyły między sobą; szum rzeczki, wśród ciszy wieczornej, wraz ze szmerem liści, odgłosem fontan bijących w ogrodzie, tworzył dziwną harmonię, która działała na umysł i nerwy, jak cichy a słodki spiew młodej matki nad kolebką niemowlęcia pochylonej. Spokój panujący w naturze, mógł uśmierzyć najsroższe boleści, zatrzeć chwilowo przynajmniej w zmęczonym umyśle, pamięć przeszłości i wyrzuty sumienia. Doświadczyła tego błogiego uczucia i margrabina. Głowę rozpaloną na oknie położyła; przestała myśleć o tem co było i co być może; zapomniała o pożerającym ją niepokoju w chwili obecnej; odsunęła od siebie straszne widma przeszłości, które ją do grobu wtrącały i wychyliwszy się za okno, wciągała w pierś wyschniętą i rozgorączkowaną, powietrze orzeźwiające. Westchnęła głęboko oddając się tej uldze, temu zawieszeniu broni w cierpieniu, jak ktoś brany na tortury, gdy widzi, że kaci jego odchodzą i zostawiają go na czas jakiś w spokoju, choć z ciałem skrwawionem i poszarpanem. Wyciągnęła ku niebu wyschłe ramiona, jakby w niemej, dziękczynnej modlitwie; głowa opadła

na poduszki, na ustach zaigrał dość dawno niewidziany słaby uśmiech i wyszeptała głosem całkiem spokojnym:

— Jaka noc cudowna!

Joana widząc ją tak cicho leżącą, przysłoniła światło lampy i usiadła w kącie nieruchoma. Drzwi do sieni stały otworem, w całym domu prócz Joanny nie było żywej duszy, gdyż reszcie służby, pozwoliła margrabina pójść na imieniny do dzierzawcy, który mieszkał o sto kroków od pańskiego ogrodu.

Nagle ktoś stanął na progu, jakby wyrósł z pod ziemi. Lampa tak słaby salon oświetlała, że zaledwie cień długi spostrzedz można było, który rzuciła po marmurowej posadzce ta postać tajemnicza; rysy twarzy w ciemności pozostały.

— Kto tam? — Joanna z trwogą zawołała, ku drzwiom podchodząc.

Był to adwokat Loubet. Suknie na nim były zużyte i powalane; broda od dawna brzytwą nietknięta, sterczała rozczochrana, obuwie było podarte i mocno zakurzone. Wszystkie te szczegóły robiły go podobnym do rabusia lub żebraka. Twarz była okropnie chuda, od słońca i wiatru osmalona. Był zmieniony do niepoznania i o lat dwadzieścia starszym się wydawał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie.)

Pan de Scmery przemówił głosem stanowczym.

— Nie oddalę się z tąd, dopóki mnie pan nie wysłuchasz.

— A! to chyba tak.

Pan de Moranes, oszołomiony krwią, uderzającą mu do głowy, pobiegł do biurka i pochwycił za rewolwer. Jednakże gdy zbliżył się i spojrzał znów oko w oko temu spokojnemu człowiekowi, którego twarz blada i szlachetna zawstydzała go i zobaczył w swem ręku ową broń, której nigdy nie używał, uczuł że jest w tej chwili ohydnym i śmiesznym, poczuł swą niższość, przygryzł usta, spuścił broń i cofnął się o dwa kroki.

Stojąc na progu gabinetu, odrzucił tak daleko rewolwer, że aż ten uderzył o jakiś przedmiot ze świętych zbiorów, może o ołtarz meksykański; usunął się, aby pozwolić wejść panu de Somery i wyrzekł:

— Mów pan.

Piotr zamknął drzwi i pozostał w sieni.

Zanim pan de Somery zaczął mówić, pan de Moranes, hamując gniew zapytał:

— Czy rzeczywiście ze mną chcesz pan mówić? Mój syn czeka na pana, ale ja go zastąpię; oznajmiam panu, że to nie on będzie się bił z panem.

— Widziałem pańskiego syna — odparł pan de Somery ze smętnym uśmiechem. — Już nie ma mowy o pojedynku między nami.

— W istocie! Przebacza panu, gdzież jest ten przeciwnik szlachetny?

— U matki swej!

— U matki! Pan się ośmieliłeś!... to pan ją tu przyprowadziłeś?

— Nie, panie, ona tu przybyła przedemną.

— W takim razie czego pan chcesz?

— Oświadczyć panu, że gdy pani de Moranes nareszcie wstąpiła w progi swego domu, nie powinna już zeń się oddalić.

— Ze swego domu? powiedz pan i z mego!

— Ze swego! ponieważ tutaj są jej syn i córka.

— Niech zabierze swoje dzieci, jeżeli będą miały odwagę pójść z nią. Ja nie chcę, ażeby jej noga przestąpiła ten próg.

— Syn pański nie chce wybierać pomiędzy nią a panem, a pan wiesz dobrze, że córka nie może! Dla tego też aby ją uratować, chce pani de Moranes pozostać tutaj.

— Późno przypomina sobie, że jest matką!

— Zawsze nią była, nawet wtenczas, gdyś jej pan to zabronił.

— W każdym razie owa miłość macierzyńska była pełną rezygnacji.

— Powiedz pan pełną odwagi i mąk krzyżowych!

— I pan za to mi ręczysz?

— Nie ja, lecz jej życie od lat dwunastu.

— Życie z panem spędzone?

— Życie zdala odemnie, w ukryciu, którego nie będziesz mógł potępiać.

— W każdym razie co mnie obchodzi jej życie! Zdradziła mnie, ja ją wypędziłem. Niech pokutuje! — Tem lepiej. Możeś się pan zmęczył jej wyrzutami, ale czyż jest możliwem, abym ja, gdy mi pan przyprowadzasz swoją kochankę, której chcesz się pozbyć, miał ją przyjąć jako żonę? Łzy, ból, śmierć nawet dzieci moich nie zmuszą mnie do tego. Nie poświęcę im mojego honoru, który im do ich życia jest potrzebny.

— Pani de Moranes — rzekł pan de Somery zwolna — nie była nigdy moją kochanką.

Uczony zerwał się z głośnym, ironicznym śmiechem.

— W istocie! I to po dwunastu latach przychodzisz mi pan o tem powiedzieć?

— A kiedyż pozwoliłeś mi pan powiedzieć to sobie?

— Dla czegoż ta kobieta cnotliwa zniosła ucieczkę, wstyd, śmierć pozorną?

— Bo wolała owo poświęcenie tajemne nad skandal procesu prawnego; bo zdawało jej się, że tym sposobem prędzej zapewni szczęście swych dzieci i zachowa ich

przywiązanie; ponieważ wstrętnem jej było usprawiedliwiać się przed panem; bo chciała oszczędzić panu scen gwałtownych, niegodnych imienia pańskiego i dla tego także, że ta uczciwa kobieta, która zachwiała się na chwilę wśród nieszczęśliwego pożycia małżeńskiego i zdawała się zważać na moje słowa pociechy, żałowała, chciała odpokutować tę słabość łzami swemi!

Pan de Moranes pomruknął z cicha:

— Wszystko to kłamstwo! Ona kochała pana, nie kochała mnie! ot cała prawda!

— A pan czy ją kochałeś?

— Jeżeli jej nie kochałem, to po cóż chciałem zabić was oboje?

— Zazdrość wypływająca z dumy nie jest dowodem miłości.

— Czy moja obecna nienawiść jest jej dowodem?

Pan de Somery rzekł z cicha:

— Co do przeszłości, nie; co do teraźniejszości, może!

Pan de Moranes chciał, aby sobie jego dawną gwałtowność tłumaczono jako miłość, ale nie pozwalał, aby obecny gniew jego zdradził słabość jaką.

— Może panu się zdaje, że teraz kochać ją będę, gdy z objęć pańskich odbiorę?

— Zaręczam panu na mój honor! — rzekł pan de Somery z wyższością — na życie syna pańskiego, który teraz klęczy u nóg matki, na życie córki pańskiej, walczącej ze śmiercią, przysięgam, że przed dwunastu laty widziałeś pan jedyną chwilę, w której zapomniałem się! Przysięgam panu, że od czasu tej fatalnej i niebezpiecznej chwili dla nas wszystkich, w której ani zbrodni, ani bezwstydu nie było, pani de Moranes żyła sama wśród ciężkiego obowiązku. Tak samo odrzuciła moją pomoc przyjacielską, jak jałmużnę dumy pańskiej. Jeżeli moja osoba nie jest gwarancją pewną, zapytaj pan pana de Rosey!

— Pana de Rosey! co to wszystko znaczy?

Pan de Somery wytłumaczył szybko obowiązki, jakie pani de Moranes przyjęła w domu przytułku u pana de Rosey.

Pan de Moranes słuchał głęboko zdziwiony, ale i z ciekawością gorzką, w której gniew przebijał.

Znał z rozgłosu zakład w dolinie la Canche. Przypominał sobie, że dzienniki pisały nieraz o doskonałej dyrekcji pani Bardin. Duma nie pozwalała mu przebaczyć kobiecie, która sobie sama nie przebaczyła.

Z drugiej strony zapewnienie pana de Somery, urok szczerości bijący z jego słów i całej postaci, przejmował pana de Moranes uczuciem zazdrości. Czyż sam nia wmawiał w siebie często, że Wiktorja nie mogła upaść jak zwykła kobieta odurzona zmysłami, popchnięta zalotnością? Jemu potrzeba było wiary w jej uczciwość dla szczęścia własnego i dzieci.

Nagle gniew go ominął; odwrócił się od pana de Somery, aby nie spostrzegł zmiany w jego twarzy, przeszedł się po gabinecie, a stanąwszy i oparłszy się o biurko z przymkniętemi oczyma rzekł:

— Więc pan chcesz mnie rozbroić. Czyż dla kobiety jak ona, dla ludzi nam równych, jest tylko jeden rodzaj wiarołomstwa, owego wiarołomstwa pospolitego, dokonanego, które policja poprawcza sądzi, a które się nieraz śmiercią karze... Tak, z początku w takie wierzyłem... Istota wierząca obudziła się we mnie... Uczułem w żyłach ogień, który mnie do wściekłości doprowadził. Prawda. Ale od tego czasu — rana ta się zasklepiła, i może zobojętniały albo bardziej zezwierzęcony, pozwoliłbym wrócić kochance pana, i zażądałbym jej dla siebie... Ale jest coś, co się nie zasklepi, to owe ślady ukrytego wiarołomstwa w sercach waszych. Popełniliście je oboje i przyznajesz się pan do tego, nawet prawie chwalisz się niem; może w tem ja zawiniłem, ale tego zapomnieć nie mogę.

Boleść, przebijająca się w tych słowach, olśniła i zmięszała pana de Somery. Poznał, że walka przechylała się na inną stronę i stawała się dlań trudniejszą; bo prawość jego nie pozwalała mu zaprzeczyć takiemu wiarołomstwu.

— Tak, — mówił dalej pan de Moranes, — mąż ufający, niedoświadczony, nie obawiający się, że żona weźmie mu za złe jedyne jego przeniewierzenie się dla nauki; pozwalający jej żyć w dostatkach, w pośród dzieci, sądzi, że ona pozwoli mu żyć życiem czynnem, które chwały i blasku doda ognisku domowemu. Ten mąż spostrzega pewnego dnia, że owa kobieta oddaje mu swe ciało, ale nie daje mu serca; że ona innemu najskrytsze swoje myśli, marzenia, nadzieje, miłość całą, nawet duszę, która po pod ziemią się unosi, poświęca... i pan nie nazywasz to wiarołomstwem? Czemże więc to jest? Jakto! owej matce nie wystarczały kołyski dzieci, aby w nich łzy małżonki ukryła? Potrzeba jej było istnego pocieszyciela, podczas gdy mi nic o owem nieszczęściu nie mówiła?... Znam ja mężów zazdrośnych względem spowiedników... A przecież ten niema praw mężczyzny; może zachować anielską obojętność. Ale ów powiernik mający zmysły, który może opuści kochankę ale zachowa ową przyjaźń wielką, która stanie się dla kobiety światowej całem jej szczęściem, ten jest wiarołomcą, wspólnikiem wiarołomstwa: Nie zaprzeczaj zatem pan, żeś był kochankiem mej żony, a ona twoją kochanką

Pan de Somery chciał zaprzeczyć; pan de Moranes nie dał sobie przerwać.

— Tak, to jest wiarołomstwo tajemne, nieprzeniknione, na które nie ma prawa, ale które wnosi nieszczęście do pożycia małżeńskiego, wprowadza kłamstwo w rodzinę, a staje się się torturą dla duszy! Straciłem żonę, a że jej całej napowrót odzyskać nie mogę, nie chcę aby powróciła tutaj! Cierpiałem okropnie, cierpię i cierpieć będę, ale pozostanę wolnym i dumnym; jej wolno zaszczycać pana nadal swem zaufaniem.

— Ale dzieci pana? — nalegał pan de Somery.

— Mój syn jest mężczyzną, może słyszeć moje zdanie o tem i rozumie je. Nie zabronię mu widywać się z matką.

— Ale córka pana, która jest umierającą?

— Jeżeli umrze, jej matka będzie więcej winną niż ja. Pozwolę aby Blankę matka kochała i ją pielęgnowała.

— Nie wyzdrowieje, jeżeli to małżeństwo nie przyjdzie do skutku.

— Więc tak są pełni przesądów ci państwo de Rosey? Jak to? znają panią de Moranes, ręczą za jej cnotę i nie pozwalają jej zostać świekrą ich syna?

— Właśnie dla tego, że ręczą za cnotę pani de Moranes, chcą tutaj przyjechać poprosić o rękę jej córki.

— A więc nie przybędą tutaj. Innego męża znajdę dla Blanki, a nie pozwolę na taki tryumf wiarołomstwa moralnego w braku wiarołomstwa zwykłego. Nie, nie może jestem mężem niewyrozumiałym, ojcem nieludzkim, czuję jednak mimo wszystkiego że prawda jest po mojej stronie i że takie postępowanie jest moim obowiązkiem. A wy panowie, którzy przychodzicie do domów naszych pocieszać te, które nie mają odwagi o to do nas się udać, wydzieracie nam ich serca i ponieważ tylko „to“ zyskaliście, ponieważ możecie uwolnić się od odpowiedzialności po dwunastu latach bezowocnych, przychodzicie nam powiedzieć: „Odbierzcie swoją niepocieszoną żonę! My jej zbrzydziliśmy małżeństwo jeszcze cokolwiek więcej niż wprzódy; ale co to szkodzi! odbierzcie ją! Załagodźcie tę niezgodę. Myśmy spełnili nasz obowiązek jako ludzie dobrego wychowania i kochankowie platoniczni!“ Nie! platonizm nie jest wymówką, jest jeszcze powiększeniem winy. — Dla mnie taka ofiara niemożebna — dla pana za łatwa!

— Za łatwa! — odrzekł pan de Somery. — Ah! dla mnie ten krok jest bardzo trudnym.

— Może pan chcesz, abym podziwiał pana?

— Chcę pozyskać szacunek pana i pragnę, abyś mnie pan naśladował, ponieważ jest to koniecznem.

— Cóż my tu za komedją odgrywamy? Don Juan prawi morały Jerzemu Bandin.

Pan de Somery obawiał się, że straci przewagę, jaką mu ów krok stanowczy nadał. Uczuł, że pan de Moranes stawał z nim na równi i prawie go przewyższał swem oburzeniem wzniosłem. Chciał jednakże aby ów niezwykły pojedynek zakończył się pomyślnie.

— Nie ma tutaj ani don Juana ani Jerzego Bandin — odpowiedział z godnością. — Są tylko dwaj ludzie na błędnej drodze, mający jednakową miłość w sercach i którzy powinni się obaj poświęcić. Tak, powtarzam to, pan kochasz panią de Moranes, ale nie chcesz przyznać się do tej miłości, która upokarza dumę twoją. Ja powiadam to panu śmiało, że ją kocham i kochać będę nawet wtedy, gdy ją odzyskasz. A! pan porównywasz nasze poświęcenie. Jakież jest pańskie? Zaślubiłeś młodą, dwudziestoletnią dziewczynę, w całej pełni powabu niewinności. Dziewczę piękne, łagodne, inteligentne, przyjaciółkę twych lat dziecięcych, którą powinieneś był na wskróś poznać, więc nie ma dla ciebie tłumaczenia nieszczęśliwych małżonków, oszukanych przez rodzinę, z którą zaledwie od kilku miesięcy się poznali... Ta kobieta, która przepędziła tak smutnie swą młodość, chętnie chciała ustąpić połowy miejsca swego nauce, ale nie chciała, aby zajmując się nią, o niej zapomniano... Czy pan zachowałeś tę równowagę?... Ja nie sądzę pana, roztrząsam fakta. Udowadniam, że miałeś szczęście obok siebie i miłość cierpliwą, dumną w swej łagodności. Pan znużyłeś jej cierpliwość, zapoznałeś jej dumę, nie odgadłeś jej łagodności... Zarzucają nam bezżennym, ową rolę pocieszyciela, która nie zawsze jest rolą Lowelasa, ową grzeczność rozpustną, która często staje się zasadzką dla duszy osamotnionej, a jest pragnieniem duszy wzdychającej do uczucia. Zamykajcie lepiej wasze ofiary, jezeli nie chcecie, abyśmy je pocieszali! Gdy zostałem przyjętym do domu pańskiego, wchodziłem doń aby zostać pańskim przyjacielem. Szanowałem pana jako uczonego. Nie zdradziłem pańskiego zaufania, którego nigdy nie posiadałem, ani przyjaźni, której nie pozyskałem. Wkrótce zobaczyłem, że nie ma spójni w tem małżeństwie. Co miałem uczynić? Przestrzedz pana, albo jak pan dziś utrzymujesz, prawić panu morały?... Byłbyś pan pięknie to przyjął! Ani prawa, ani potrzebnej ku temu wyższości nie miałem. Ja nic nie obliczałem! litowałem się nad tą kobietą, która nie chciała litości. Oto cała moja zbrodnia. Nie wiedziałem, że ją kocham, że ją szanuję z głębi duszy i nie spostrzegłem, że pragnę być przez nią kochanym, bo mi się zdawało, że tylko jej szacunku pragnąłem. Nazwij pan to wiarołomstwem, pozwalam, ale jest to wiarołomstwo wywołane przez pana, a ja popełniłem je bez winy. Tak, ja ją kochałem, i mimo gniewu pana przyznaję się do tego; później zapragnąłem jej dla jej piękności, tak jak poprzednio uwielbiałem jej odwagę i boleść... Tak, gdyby to było odemnie zależało, zabrać ją panu całą z ciałem i duszą, byłbym pojechał z nią na koniec świata, a pan byłbyś wtenczas ułożył wedle możności życie i szczęście swych dzieci. Ach! nie bądź pan o mnie zazdrośnym, który nic nie zdołałem ci zabrać. — To wiarołomstwo nigdy się nie spełniło, pozostanie tylko dla mnie wyrzutem sumienia i pragnieniem niezaspokojonem, nie mającem nawet żadnego z tych wspomnień, które rozdział i oddalenie osładzają. Pojadę samotny daleko, bo nic mi w życiu już nie pozostaje, ani nikt mnie żałować nie będzie, ani pan szanować mnie nie zechcesz, nie odbiorę podziękowania od syna pańskiego, którego przypadek zbliżył do mnie, pokochałem go zanim poznałem i zazdroszczę go panu! Będzie to wygnanie grobowe, ale ja poddaję się temu, pragnę go i uważam je za obowiązek. Wyrywam się dobrowolnie, nie z pośród szczęścia, ale z pośród kradzionej boleści, która mi świętą była. Nawet nie będę miał owego słodkiego złudzenia, że ktokolwiek kochać mnie będzie... Ja sam naprawię wszystko złe, cośmy obaj popełnili. Za tę całą ofiarę pragnę jednej nagrody. Chcę wiedzieć, że żona pańska jest w swym domu, że córka uratowana, a syn uwolniony od konieczności dawania policzków tym, którzy moje nazwisko wymienią. Nie sądź pan jednakże, że opuszczam tylko to, czego nigdy nie

miałem, bo pan jesteś nadto filozofem, aby nie rozumieć, że namiętności niezaspokojone są najwięcej samolubnemi i zaciętemi, że było pewnem zadośćuczynieniem dla mnie przeświadczenie, że nie jesteś szczęśliwszym odemnie! Niewinność dzieci pańskich więcej jeszcze niż nienawiść pańska przekonała mnie o winie mojej. Przecież jest to straszliwa ironja losu, łącząca się z wyrzutami sumienia, że zostanę ukaranym za błąd, który skończył się na pragnieniu. Pan za jedną minutę zapomnienia, obrażającego twoją dumę, odzyskujesz godność ogniska domowego, zapewniasz szczęście swych dzieci, i jeszcze możesz marzyć i cieszyć się nadzieją. Porównaj pan zatem nasze położenie i powiedz mi teraz czy ofiara dla mnie jest łatwiejszą, czy moje poświęcenie nie jest większem i boleśniejszem?

Pan de Moranes nie przerywał. Słuchał z głową spuszczoną, z oczami przymkniętemi i z pewnym rodzajem zadowolenia, upajając się bolem, który rozlewał się na pięknej twarzy pana de Somery.

Jeszcze był zazdrośnym, ale tym razem bał się wyższości swego przeciwnika.

Niezwykłość tej rozmowy i obrony olśniewała pana de Moranes. Cieszył się, że głośno uznawano jego dumę i tym sposobem skłaniano do ustępstwa; nie chciał pozwolić aby go przewyższono bohaterstwem. Wreszcie uczucie błogie, które było miłością ojcowską, przenikało go na wskróś. Szukał odpowiedzi, argumentów nowych, nie aby się bronić, ale aby niemi swój gniew usprawiedliwić. Nie znalazł ich. Wtenczas z prostotą upartego, który zgadza się na wszystko, gdy nie może na swojem postawić, wyprostował się, podniósł twarz ciągle zarumienioną, na której osiadł niby uśmiech pojednawczy i rzekł:

— Masz pan słuszność... niech przyjdzie.

Pan de Somery ukłonił się.

— Dziękuję — rzekł z cicha.

To zwycięztwo przygnębiało go.

Nastała chwila ambarasująca dla tych dwóch nieprzyjaciół, godnych zostać przyjaciółmi. Ich ręce poruszyły się ale nie wyciągnęły do siebie.

— Żegnam pana! panie de Moranes — wyrzekł pan de Somery.

Uczony skłonił głowę nie wyrzekłszy ani słowa. Zdawało mu się podłością odpowiedzieć: „Żegnam pana“. Niemożebnem mu było wymówić: „Do widzenia“.

Piotr czekający w sieni nie potrzebował pytać o nic pana do Somery. Miał ochotę paść na kolana przed tym zbawcą; pochwycił ze czcią jego ręce i szepnął:

— Ach panie! co za szczęście!

Pan de Somery uśmiechnął się i szybko rzekł:

— Pójdźmy po nich.

Nie potrzebowali iść daleko. W alei spótkali Abla i panią de Moranes. Matka oparta na ramieniu syna z ufnością, która nagradzała lata stracone, postępowała zwolna. Na twarzy rozlewał się smutek i obawa przebijała ale zawsze pewna ufność pokonywała skrupuły, owszem z niejakiem pomięszaniem czekała zwycięztwa, jakie odniesie pan de Somery.

Jeszcze z daleka poznała, że sprawa była wygraną. Opuściła ramię syna, wyprzedziła go i pochwyciła rękę pana de Somery, zanim tenże wyrzekł słowo. Uścisnęła ją serdecznie, a ten gest był szczytnym w swej odwadze. Było to podziękowanie matki, a zarazem bez profanacji żadnej pożegnanie i wyznanie kobiety. Tym razem uchyliła, jak pan de Somery sobie życzył swą zasłonę tajemną, którą przez lat dwanaście otulała serce swoje, a nagradzając to serce dzielne, ten umysł wzniosły, spojrzała nań całym blaskiem ócz płonących, aby mu niemi powiedzieć:

— Kochałam cię, patrz co tracisz, ale patrz też co zyskujesz. Bądź dumnym z tej ofiary przyjacielu niezłomny, jak ja dumuą jestem, że zasłużyłam na nią. Zabierz z sobą ten promień serca mego, który nie robi ujmy mym nowym obowiązkom i wybacz mi, że zabrałam ci serce, nie mogąc ci w zamian dać mego.

Pan de Somery zrozumiał to wszystko i pochwycił z zachwytem to spojrzenie, aby je głęboko w sercu zachować. Przytrzymał długą chwilę rękę sobie podaną, a gdy pani de Moranes ją wysunęła zostawiając mu ciepło w dłoni, zamknął spiesznie dłoń aby tym sposobem niejako przechować w niej owo ciepło fizyczne.

Abel, któremu matka mówiła o panu de Somery, odgadł wszystko co było boleśnem i uszanowania godnem w tem ostatniem pożegnaniu. Czy nie chciał przerwać tej słodkiej boleści? czy też przez delikatność synowską, która go ogarnęła wraz z powrotem uczuć przyjaznych, dość, że nie chciał zatrzeć śladów ręki matki, pozostawionych w ręku pana de Somery.

Otoczył ramieniem kibić pani de Moranes, a chcąc dodać jej siły, oparł głowę na ramieniu matki i z całą delikatnością młodzieńczą, w której uczucie przebija, zapytał:

— Czy możemy odejść?

Pan de Somery ukłonił się i na bok się usunął.

— Nie mogę panu w tej chwili podziękować, bo się bardzo spieszymy. Jutro przyjadę do Boulogne opowiedzieć panu wszystko... Do zobaczenia.

Pan de Somery nie zdołał wymówić słowa. Nie chciał zresztą i kłamać zapewniając Abla, że się zobaczą, ani mu mówić, że odjeżdża. Jeszcze raz skłonił się w milczeniu, nie spojrzał nawet już na Wiktorję, tylko pozwolił przejść koło siebie szczęściu, które utworzył...

Piotr szedł za nim. Gdy spostrzegł, że przy bramie nie ma powozu, chciał z naiwnym pospiechem zaprządz konie i odwieźć go.

— O nie! potrzebuję przejść się — odrzekł pan de Somery spiesznie. — W wiosce znajdę furmankę... dziękuję ci mój kochany, dziękuję.

Wyszedł, a gdy usłyszał zamykającą się bramę, wstrząsł się, jak gdyby ta krata żelazna skazująca go na wygnanie, zamykała się za nim jak drzwi więzienia. Szedł wyprostowany z głową do góry, ale ponieważ

nikt go nie widział, płakał gorącemi łzami, doznając ulgi, że może swobodnie oddać się swojej boleści.

Gdy doszedł do miejsca, w którem alea zakręca się, nie mógł się powstrzymać, aby nie spojrzeć poza siebie, ale drzewa zakrywały przed nim pałac, jego zaś przed wzrokiem Piotra, jeżeli go śledził; wtenczas ten człowiek poważny, z tą miną urzędową, z manierami dystyngowanemi, popełnił czyn dziecinny, dziwny, śmieszny. Podniósł do ust rękę, którą dotąd zamkniętą trzymał i pocałunkiem osuszył ciepło, które Wiktorji ręka tam zostawiła....

Pani de Moranes i jej syn szli ku pałacowi tuląc się do siebie. Chociaż się nie obawiali, byli pomięszani.

Drzwi do gabinetu były na rozcież otwarte, ale uczonego nie było w bibiotece. Abel zaniepokoił się trochę. Wiktorja pochwyciła za poręcz od wschodów.

— Pójdę uściskać córkę! — rzekła wchodząc spiesznie na górę.

Gdy była na ostatnim stopniu, zobaczyła nagle męża i stanęła oniemiała.

Pan de Moranes był nie do niepoznania. Twarz jego wyrażała pomięszanie, wstyd, nieśmiałość. Prawie z rycerską grzecznością podał ramię żonie i rzekł do niej za całe powitanie, wskazując na pokój Blanki!

— Obawiałem się, aby twoje nagłe wejście nie przeraziło jej; poszedłem ją przygotować; czeka na nas.

Wiktora podała mu rękę i wtenczas z grzecznością niezręczną ośmielił się ponieść do ust rękę swej żony. Przypadek zdziałał, że to nie była ta ręka, która ściskała dłoń pana de Somery....

Ten jak tylko znalazł powóz, kazał się zawieść w dolinę la Canche i padł w objęcia pana de Rosey. Potrzeba mu było tego uścisku człowieka wielkiego i rozumnego, przyjaźni umiejącej się wznieść na wyżynę takiego uczucia, jakie nosił w swem sercu.

Pan de Somery jest w Ameryce.

Blanka jest teraz panią de Rosey.

Pani de Moranes, powróciwszy do swego nazwiska, została jednak zawsze panią Bardin dla dzieci w domu przytułku. Pragnęła zajmować się niemi i nadal. Księgi i bóstwa uczonego zdołano umieścić w skrzydle, które zostało z dawnego pałacu.

Wiktorja spełnia te miłosierne obowiązki już nie jako pokutę, ale jako miłość macierzyńską. Mąż jej jest nadto filozofem, aby nie popierał tego szlachetnego upodobania, które chociaż ich zbliża zajęciem do siebie, trzyma ich jednak w pewnem rozdzieleniu, które bardzo ułatwia wspólne pożycie.

Wreszcie gdy spoczną na chwilę, on po swoich studiach nad przeszłością, ona po pieszczotach, które przyszłość mają na celu, spoglądają wtenczas przed siebie, patrzą na szczęście swych dzieci i są spokojni i zadowoleni.

Czyż tak samo się nie dzieje we wszystkich stadłach nawet i w takich, które nigdy rozdzielonemt nie były?

Panna Dumesnil spoczywa, to znaczy, że dostaje jako rentę tyle, ile brała jako nauczycielka. Jest to jedyna zmiana, jaka zaszła w jej życiu. Ponieważ już nie potrzebuje towarzyszyć Blance, pomaga niby pani de Moranes. Wolno jej z całą pasją pochłaniać nadal romanse. ale wszystko, co czyta, nie wyrównywa jednak temu, który nagle odkrył się przed nią w ów dzień, gdy Wiktorja zmartwychwstała:

Jeżeli w pierwszej chwili zawstydziła się, że nie przeczuwała tego dramatu, to potem dumną była, że poznała piękną bohaterkę i w skwapliwości, z jaką powitała panią de Moranes, odgadnąć było można, jak pragnie być wtajemniczoną w sekreta tej kobiety niesprawiedliwie oskarżonej o uczucia grzeszne, która tak umiała zwalczyć wszelkie pozory i usprawiedliwić się.

Poczciwa panna Dumesnil czeka zawsze chwili, w której pani de Moranes zwierzy jej się z owych walk, przez jakie każda cnota przechodzić musi.

KONIEC.

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

POŻAR W NICEI.

O pożarze w Nicei dochodzą jeszcze ciągle najsmutniejsze wiadomości. Korespondent „W. Allg. Ztg„“ donosi, że pomimo usiłowań przedstawienia, że mniejszą była liczba ofiar, faktycznie zgłosiło się 280 osób zapytując w ratuszu o zaginionych swych krewnych lub znajomych. Prócz tego brakuje jeszcze 37 osób obcych z hotelów. Ciągle jeszcze wykopują z pod gruzów cząstki ciał, brylantami wysadzane bransoletki, resztki sukien męzkich z luidorami w kieszeni. Wystawione były w zamku zwłoki bogato ubranej kobiety z naszyjnikiem z turkusów i brylantów i podobnemi kólczykami, której nikt nie poznał. Walka ze śmiercią była starszna. I tak: uratowano mężczyznę, który leżał bezprzytomnie przy samych drzwiach, miał on ugryzione dwa palce, które znaleziono w ustach jego żony. Wyciągano z tlejących gruzów zwłoki dzieci bez rąk i nóg, a między niemi 12 letnią dziewczynkę, która już była ocaloną, lecz widząc się bez matki, pobiegła na schody szukać jej i tam śmierć znalazła. Tym sposobem zginął spiewak Catani, który, gdy już pożar wzmógł się, chciał jeszcze uratować swoją garderobę, będącą na 3-ciem piątrze. Płomienie zaparły mu odwrót i padł ofiarą jak tylu innych.

POGRZEB SUŁTANKI.

Niedawno zmarła faworyta cesarza marokańskiego, przeżywszy lat trzydzieści cztery.

Przemieszkiwała ona w haremie od lat dwudziestu i nosiła tytuł pierwszej sułtanki.

Pochowano ją z wielką wystawnością w kiosku mieszczącym się wśród ogrodów cesarskich; było to ulubione jej miejsce pobytu.

Ubrano ją w najkosztowniejsze stroje; jej suknie rozdarto. aby nie mogły nikomu służyć.

Meble jej zniszczono, a drzwi mieszkania zabito.

Władca Maroku okazywał wielki smutek.

Mimo to nie rozczulajmy się tak bardzo nad stratą jego ulubienicy, ponieważ pozostaje mu jeszcze 199 kobiet, gotowych pocieszać go czule...

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.